

Komu przydzielić władzę absolutną nad dzieckiem: rodzinie czy państwu?

5 marca 2010

„Dzieci wasze nie są waszymi dziećmi. To syny i córki tęsknoty życia za samym sobą. Jawią się na tej ziemi przez was, lecz nie od was pochodzą; i choć przebywają z wami nie do was należą. Miłość im waszą dawajcie, lecz nie waszą myśl, gdyż one własne posiadają myśli (...) Możecie starać się być do nich podobni, lecz nie usiłujcie nigdy upodobnić je sobie.” (Kahlil Gibran)

I znowu ścierają się ze sobą dwie skrajności: unijny „liberalizm” wziął się za łby z kościelną „świętą” tradycją. O „nasze dobro” walczą ze sobą dwaj giganci, a za to wszystko jak zwykle zapłacimy my.

Tradycjoniści uważają, że rodzina to rzecz święta i nikt nie ma prawa ingerować w to, co się w niej dzieje, nawet jeśli dochodzi tam do aktów przemocy, a „postępowcy” chcieliby poddać wszystko, wraz z prywatną sferą życia totalitarnej kontroli i inwigilacji.

Najpierw dano nam religię z okrutnym, patriarchalnym bóstwem, którego „boskość” wyrażała się hasłem „ja tu rządę, więc mam prawo poniżać i zabijać kogo zechcę” i na ten wzór i podobieństwo ustanowiono rodzinę oraz strukturę państwa, a obecnie zaczyna dominować tendencja przeciwna. Teraz już tatusiowi nie wolno bić, gwałcić ani tyranizować, teraz tatuś musi być pod kontrolą. Najlepiej totalitarną. Niektórzy byliby pewnie za tym, aby wprowadzić przymus osadzania rodzin w szklanych domach, żeby od razu było widać, jaka patologia kryje się w czterech ścianach pozornie porządnego domu.

Dawniej rodzina musiała przestrzegać 10 przykazań, a jej

nowoczesna odmiana powinna nauczyć się na pamięć zapisów „Ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie”. Najlepiej byłoby czytać ją głośno przed każdym posiłkiem. Według tej ustawy aktem przemocy jest narzucanie dzieciom światopoglądu, który wyznają rodzice, muszą więc oni wystrzegać się wszelkich rozmów o religii, polityce i seksie. Najbezpieczniej byłoby nie rozmawiać z dziećmi w ogóle, żeby nikt nie mógł zrobić donosu do władz, które mają prawo odbierać dzieci i odstawiać je do biduła bez czekania na prawomocny wyrok sądu, bo po co tracić czas na prawnicze korowody, skoro można od razu ratować dzieci przed patologią. Pozwolę sobie zadać pytanie: czy narzucanie światopoglądu religijnego będzie karane tak samo, jak narzucanie światopoglądu ateistycznego?

Religie i ich zalecenia powinniśmy traktować z dystansem. Generalnie religie są dla owiec, ale nie jest prawdą, że każdy człowiek jest baranem. Tylko nieliczni zasługują na to, żeby uznać ich za barany. Mimo to religia traktuje wszystkich jednakowo. Przesławna ostatnio „ekspertka”, siostra Michaela twierdzi, że człowiek nie posiada żadnego naturalnego zmysłu moralnego, więc musi ślepo przestrzegać zaleceń danych mu przez biblijnego boga i słuchać księży, którzy są jego ziemskim ramieniem. Czytając to współczuję szczerze siostrze, bo od razu widać, w jakich sferach się biedaczka obraca.

Jeśli jednak ktoś wierzy, że poprawimy świat wprowadzając w miejsce religii unijną nowoczesność to myli się bardzo. Unijny socjalizm jest tak samo totalitarny jak religia i tak samo traktuje ludzi jak zwierzęta. Różnica między religią a Unią polega na tym, że barany ustąpiły miejsca dzikim i niebezpiecznym bestiom, które trzeba nieustająco śledzić i kontrolować.

Dawniej matki siedziały w domach i nikt ich nie pytał, czy mają na to ochotę. Dziś matki muszą pracować i również nikt ich nie pyta, czy im to odpowiada. Dawniej rodzice narzucali dzieciom wychowanie religijne (innej opcji nie było), dziś zmierzamy w stronę państwowego ateizmu (Polska jest wyjątkiem,

ale nie wiadomo jak długo jeszcze). Wszyscy znamy hasło „sześciolatki do szkół”. Niedługo będzie to dotyczyło pięciolatek, a może i czterolatek. Żłobki i przedszkola będą obowiązkowe – „dla dobra dzieci”, bo tylko te instytucje rzekomo zagwarantują im właściwy rozwój i edukację bez demoralizującego wpływu domu rodzinnego.

Każdy myślący człowiek wie, że nie da się zastosować jednej, uniwersalnej miarki do osądzenia wszystkich rodziców. Są rodzice idealni, są też głęboko patologiczni, a cała reszta to średnia krajowa, gdzie dobro i zło są przemieszane w różnych proporcjach. Tak więc ani nie można założyć, że każdy rodzic postępuje idealnie, więc łapy precz od każdej rodziny, ani też odwrotnie, że każdy to potencjalny drań, więc na wszelki wypadek inwigilujemy nieustająco wszystkich i wyposażymy państwo we władzę absolutną.

Nawet, gdybyśmy wdrożyli najbardziej surowe kryteria kontrolowania rodziców i tak nie uda się zapobiec wszystkim aktom przemocy, bo w świecie istnieje zarówno dobro, jak i zło. Tego nie zmieni żadne państwo i żadne, nawet najbardziej drakońskie prawo. Mówienie o „zapobieganiu” przestępczości czy przemocy w rodzinie jest zwykłym oszustwem. Żadne prawo niczemu nie zapobiegnie, co najwyżej może wprowadzić kary za już popełnione czyny. Nie da się przewidzieć zamiaru popełnienia jakiegokolwiek czynu. Żeby prawo mogło wkroczyć musi zaistnieć powód, a więc czyn któremu rzekomo mieliśmy zapobiec musi zostać popełniony. I gdzie tu zapobieganie? Życie pokazało, że nawet zagrożenie karą śmierci nie likwiduje przestępczości, podobnie jak nie zlikwidowały jej kamery wiszące na każdej latarni.

Na szczęście mamy (jeszcze) demokrację i możemy tę linię z władzą przeciągać, jest więc nadzieja, że dojdzie do kompromisu.

Autor: Maria Sobolewska

Źródło: [Jestem za, a nawet przeciw](#)